

86

Jak nauczyliśmy się podczas okupacji niemieckiej

"Moja droga do nauki."

Gdy we wrześniu 1939 r. wybuchła druga wojna światowa, miałem lat jedenastcie i świadectwo ukończenia czwartej klasy szkoły powszechnej. Od chwili wybuchu wojny wypadki w moim życiu potoczyły się tak szybko, że już tylko jakby poprzecz mógł widzieć w pamięci oglądane wypadki wojny w jesiennym 1939 r. Być może, że nie przeżytem wówczas nic takiego, co mogłoby wyciąć się mi w pamięć na całe życie. Byłem wprawdzie w chwili wybuchu wojny pod Warszawą, gdzie przez parę dni z trwogą w sercu przeżywałem bezcelowe bombardowanie tej miejscowości, gdzie mieszkańcom, przez niemieckie samoloty, które od strony powietrznej nad Warszawą były odpędzane przez garstkę bohaterskich polskich samolotów myśliwskich. Te bombardowania i to wszystko, co przeżytem później podczas krótkiego okresu ewakuacji w kierunku Lublina, nie da się porównywać z przeżyciami tysięcy innych Polaków podczas wojny i okupacji.

Moje wspomnienia z tego czasu tyżgoc się nauki ograniczają się do czteronasternego uczęszczania do piątej klasy szkoły powszechnej w tej miejscowości podwarszawskiej, w której przeżywałem wybuch wojny.

Z czterech mienięcy nauki w tej szkole najsilniej utkwila mi w pamięci postać jednego z nauczycieli, p. C. Był to wtedy jeszcze mężczyzna, dość gwałtowny i surowy w stosunku do uczniów. Lecz to jeszcze nie. Oto bowiem pewnego dnia zjawił się p. C. w mojej klasie i oświadczył krótko, że od tej chwili będziemy się musieli uczyć języka niemieckiego. Kolekcy moi zareagowali na to różnie. Ogólnie jednak wyrzuwato się niechęć uczniów tak do języka niemieckiego, jak i do jego nauczyciela. Niechęć ta przemieniła się w mienawieć, gdy p. C. zaczął przychodzić do klasy z cienką trzcinią w ręku, którą uderzał w pulpity i przez zaciśnięte zęby wyrzucał pytania niemieckie, na które żądał bezbłędnych i wyczerpujących odpowiedzi po niemiecku.

Najmiejsze przewinienie przypisano tego pana o atak furii. Od tego czasu nazywaliśmy go w klasie „wściekłym psem”. Wydaje mi się dziś, że trudno było o lepsze noszenie niemieckości od portacji tego nauczyciela o polskim nazwisku.

Drugim ważnym wypadkiem, który zdarzył się w tej szkole podczas mego pobytu, to obchód Święta Niepodległości 11.11.1939 r. Pamiętam dobrze salę gimnastyczną, wypchaną po brzozi przez uczniów i ich rodziny. Sala przybrana zieloną, na ścianie białej tłem dla estrady — Orzeł Biały, flagi biało-czerwone i portrety najważniejszych dostojników państwowych. Wyszli wreszcie na estradę jeden z nauczycieli. Mówił długo i ładnie, mówił wzruszonym od smutku głosem o Polsce, o wojsku, o bohaterach narodowych... A potem sala zatrzęta się całą od hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Spojrzałem po sali. Wszyscy mieli łzy w oczach. Patrzyłem, lecz jakoś niewyraźnie widziałem otaczających mnie ludzi. Patrzyłem więc w sufit, który zdawał się w moich oczach drgać niewyraźnie... Wreszcie przestatem się Tucki: plakatem. Lecz nie tak plakatem, jak wtedy, gdy po wyjeździe klasu i powrocie z podartymi spodnicami ojciec odliczył mi trzydzieści rasów dyscyplin... To był inny ptacz. — spojrzalem nagle na stojące obok dziewczynki z drugiej klasy, które ze współczesno-ciekawymi minkami zaczęły mi się przypatrywać. Zrobiło mi się trochę wstyd moich łez, mnie uczniowi piątej klasy. Lecz w tej chwili i moim sąsiadkom łzy puściły się ciurkiem z oczu. Tak więc chwilę mej męskiej siłowości rehabilitował ogólny nastroj na sali.

Wydarzenie to nie przeszło bez następstw. Szkoła została zamknięta na, o ile pamiętam, dwa tygodnie. Oficjalny powód zamknięcia szkoły: wybuch epidemii tyfusu...

Dziesięć miesięcy później zdawałem egzamin do różnej klasy szkoły powszechnej w Warszawie. Nie zabawiłem tam jednak długo, bo choroba zmusiła mnie do przerwania nauki po dwóch miesiącach, a potem wyjechałem z rodzicami z Warszawy w okolice Lublina. Ten moment rozpoczął nowy okres mego życia. Od tej chwili przetrwał

cały czas okupacji niemieckiej wśród wsi lubelskich. Onanci nie było mowy. Najbliższym zakładem naukowym była wiejska szkołka czteroklasowa. Po pewnym czasie pobytu na „odludziu” zaczęłam czuć coś w rodzaju niecierpliwienia, a nawet jakgdyś drwinę, nieokreśloną bliżej tęsknotę. Do tych uczuć doszło jeszcze jedno: strach przed zdrzczeniem. Oto bowiem pewnego wieczora, podczas przystuchiwania się rozmowie starszych, wrzuciłam sobie do głowy jeden szeregół: okupant niemiecki chce nas wszystkich zamienić w bydlęta robocze, w bratych murzynów bez żadnej cywilizacji i kultury. Od tego czasu myśli moje ciągle wracały do jednego tematu, a mianowicie do nauki. Lecz białem się jeszcze wyznaczyć sobie to, co już w istocie mieszkało w mej duszy: chęć uczenia się. Nie przyszło mi to łatwo. Po prostu wstydzitem się uprosić sobie, że chcę się uczyć. Błogosławione próżnowanie przysiadło mi się już po trzech miesiącach, to prawda, ale warunków do nauki nie było, więc uważałam, że lepiej nie brudzić w sobie takich uczuć, jak pożądanie czegoś trudnego do osiągnięcia. To coż wreszcie będę ukrywał swoje zadowolenie w pierwsze tygodnie po przerwie nauki. Uważałam to za takie legalne „wagary”. A któż z nas wreszcie, nawet teraz w gimnazjum, nie lubi (z umiarkowaniem, oczywiście) tych t.zw. „wagarów”?

Po pewnym czasie próżnowanie, w pełnym tego słowa znaczeniu skończyło się. Rodzice oświadczyli, że muszą się czymś zająć. Powierzone mi pewną funkcję w pewnym gospodarstwie rolnym, gdzie byłam notowana jako spełniająca poważniejszą czynność, a rzeczywiście pomagając tylko w dzieckim kłopotach. Ta praca jednak nie zaspokoila mnie. Przeciwnie. Wmawiałam sobie nawet, że dzieję, że jeśli tak dalej pójdzie, to i t.d. i t.d. Liczyłam jednak nato, o czym rokicie ciągle wspominali i o co starali się: liczyłam na to, że warunki zmienią się i że będę się mogła uczyć. Gdybym był wiedział wówczas, w r. 1941, że wojna potrwa jeszcze trzy lata, to chyba pogrzeżyłbym się w głębszej depresji duchowej. Była jedna rzecz, która mi w tych ciężkich czasach częściowo zastępowała szkołę: to książki. Nie książki szkolne,

83
czy nawet popularno-naukowe. Przede wszystkim niehorne zrentę w zdekompletowanej bibliotece
rocznikowej arcyksięcia literatury polskiej. Taka np. "Fylogia" Sienkiewicza była dla mnie
przez cały jeden rok pożywieniem duchowym. Wystarczyło tego pożywienia na tak długi
czas, bo oszczędnie je pobierałem, a rozgryzałem i przyswajalem długo. To czytanie
"Fylogii" było podstawą do zawziętych "studiów" nad wielkim siedemnastym
w historii Polski. Przeczytałem wtedy wszystkie dostępne mi książki o tych czasach.

86
Czytałem w tym czasie doszukiwałem się analogii "potopu" z wojną ostatnią. Takie porównania
napawały mnie nieświadomie wzruszeniem jakimś. — Czytałem też i szeregi innych
książek. Nie widząc nic pożyteczniejszego, zacząłem uczyć się z podręczników - samonaukowych
języków obcych, co w efekcie dawało pewną satysfakcję, gdyż w otoczeniu moim rozmawiano
to i mówiono o mnie, że władam sześcioma językami. Jednego tylko języka nie mogłem się
uczyć - niemieckiego. Był mi on tak nienawistny, że w krótkim okresie czasu, kiedy pod
wpływem starszych zacząłem się uczyć niemieckiego, słowa niemieckie z trudem wychodziły
mi z ust. Naukę tego języka porzuciłem w krótkim czasie. Niekiedy potem myślałem
w sobie: czy to jednak nie jest głupota porzucić naukę języka, którego mówi osiemdziesiąt
milionów sąsiadów Polski? Takie pytania tzw. rozsyłku porostemiatem bez odpowiedzi.
Można to nazwać szowinizmem, czy jak kto chce.

W niedługim czasie przed wkroczeniem do Polski wojsk sowieckich sytuacja moja zmie-
niła się nagle radykalnie. Zjawił się człowiek, który zjedził się poprowadzić naukę moją
i moich dwóch braci. Złożyło się to tak nagle, że nie mogłem sobie od razu dobrze
uprzytomnić faktu, że już uczyć się. Lecz powoli wszystko wstąpiło w pracę. Zaczęłem
"całą parę" przereabiać kurs klasy pierwszej gimnazjalnej.

To był kres pierwszej etapu mojej drogi do nauki.

W niedługim czasie potem, w pierwszych dniach lipca 1944 r. zdawałem
egzamin do klasy trzeciej gimnazjalnej przed komisją egzaminacyjną, pod
przewodnictwem dotychczasowego dyrektora p. A. Paciorka.

Po dwóch miesiącach znalazłem się w murach Gimnazjum im. Hetm. J. Zamojskiego w Lublinie.

Stanisław Pietraszko

Lublin, 17. VII. 1946 r.